

WSPOMNIENIA

LITERACKIE Z DAWNYCH CZASÓW.

W roku bieżącym, wyszła w Krakowie broszura z stronic 116 złożona, przez p. Lucyana Siemińskiego napisana, p. t. *Obóz klasyków*. Autor skreślił w niej stanowisko i zdania literackie pisarzy naszych, z pierwszych trzydziestu lat wieku XIXgo, którzy najsilniej obstawali przy dawnych pojęciach o poezyi, opartych na przepisach Horacyusza i Boala. Zamiast *Obozu Klasyków*, właściwsza byłaby nazwa koteryi klasyków: gdyż możnaby mniemać, że *Obóz Klasyków*, był to liczny wpływowy zastęp pisarzy, którzy, jak to Mickiewicz napisał: „wzniesli mur chiński, żeby żadna myśl ich zasadom literackim przeciwna, nie wcisnęła się do nas. Tymczasem, *Obóz ten* składa się z dwóch tylko wierszopisów, Osińskiego i Koźmiana; trzeci, Franciszek Morawski b. generał, był przez pół zwolennikiem romantyczności; czwarty, Andrzej Koźmian, dwudziesto-czteroletni młodzieniec, syn poety, był korespondentem pomiędzy Morawskim a swoim ojcem. Znajduje się tam kilka wzmianek i o mnie, wówczas już wydawcy i tłumaczu; ale do obozu klasyków i do gorliwych jego obrońców, nie tylko policzony nie jestem, ale nieraz uważany jako przeciwnik, żartujący sobie z autorów klassycznych.

Okoliczność ta, że moje nazwisko zaplątało się w owym *Obozie Klasyków*, skłoniła mię do skreślenia kilku szczegółów z tej epoki. Uważałem one jako mało znaczące, i wydając *Moje Wspomnienia od r. 1806 do r. 1830*, zamili-czałem o nich. Wywołany listami obu Koźmianów i Morawskiego zamieszczonemi w *Obozie Klasyków*, ogłaszam je drukiem. Teraźniejsi literaci powezmą z nich (choć to może wcale ich nie obchodzi) prawdziwsze wyobrażenie

o usposobieniu publiczności warszawskiej, o salonowej koterii literackiej owego czasu i o moich młodzieńczych pracach krytycznych, niż to, jakie sobie z jednostronnego przedstawienia utworzyli. Ważniejsze kwestye literackie, naukowe i społeczne, zajmują teraz uwagę czytających: ale wspomnienia przeszłości mają zawsze powab dla młodych pokoleń i z téj przyczyny, może zechcą przeczytać i *Obóz Klassyków* i moje do niego dopełnienia.

I.

W roku 1814 po upadku Napoleona i powrocie do kraju szczątków naszego wojska, głośnym stał się w salonach arystokracji naszej, pułkownik Franciszek Morawski. Ogół publiczności znał go tylko z *Mowy*, którą miał na uczenie pamięci księcia Józefa Poniatowskiego i z *Ody* na powrót wojowników do zagrody ojczystej. W *Mowie* były okresy wymowne i sympatyczne. *Oda*, chociaż nieco przesadna, podobała się powszechnie. W salonach stawiano go na równi z Osińskim i Koźmianem i zdawało się, że znakomitemi utworami poczytają naszą wzbogaci.

Ścisła zażyłość, a może i przyjaźń łączyła Morawskiego z Osińskim i Koźmianem i utworzyła się plejada salonowa, stanowiąca areopag ówczesnych klasyków. Między nimi nie było zupełnej zgodności: Morawski bowiem czytał i cenił Szyllera, unosił się nad Szekspirem; nie można go więc liczyć do czystych klasyków.

Koterya ta: bo jak wspomniałem właściwsze dla niej jest to nazwisko niżeli *Obozu*: głównie zbierała się w domu generała Wincentego hr. Krasińskiego, a tam, sarkazmy na nową szkołę poezyi i żarty z Jaksy Marcinkowskiego, biednego wierszoklety, o którym dość obszernie pisałem w moich Wspomnieniach, nie zaś poważne ocenienie kwestyi literackich, były jej ulubioném zajęciem. Sędziwy Julian Niemcewicz był celem poszanowania powszechnego i nie mieszał się do tych sporów literackich, chociaż zostawał w ścisłej zażyłości z Osińskim i Koźmianem. W czasach najmocniejszej przewagi szkoły francuzkiej, dał on poznać współziomkom, kilka dum i ballad angielskich, a drammatami i powieściami swojemi, odwodził od naśladownictwa Francuzów.

Za obiegem tego kółka, zaczynał tworzyć się nowy świat literacki i wzrastał ciągle. Wtenczas, kiedy koterya spoczywała spokojnie, Kazimierz Brodziński ogłosił wiersz na zgon księcia Poniatowskiego, a wkrótce potem tłumaczenia z Szyllera, pieśni z ludowego źródła powzięte, i rozprawę o klasycyzmie i romantyczności. Tymowski i Minasowicz także tłumaczyli Szyllera. W roku 1821 przekład Dziewicy Orleańskiej, tragedyi tegoż autora, wzniecił powszechny zapas. Sienkiewicz przełożył i wydrukował poemat Pani jeziora z Walter-Skotta; na scenie Warszawskiej wystawiono *Machbeta* i *Hamleta*, tragedye Szekspira; Szyllera *Fiesko*, *Intrygę* i *Miłość*; jedném słowem, nowe zasady sztuki, nowe pojęcia przeciwne dawnemu klasycyzmowi, rozszerzały się i coraz to bardziej brały górę nad utworami dawniej szkoły. Jednakże powaga klasycznej literatury francuskiej jeszcze była wielka, utrzymywała się w salonach arystokracji i w koteryach żon i córek średnich urzędników administracyjnych i sądowych.

W takich kółkach Osieński był wyrocznią; jego dwie ody, wiersz o dobroczynności a głównie tłumaczenie Horacyuszów, Cyda i Cynny, zjednały mu tę sławę, iż go uważano za najpierwszego z ówczesnych poetów. Woronicz był dla takich czytelników niepojętym i za ciężkim, Brodziński nie dość wytwornym i jeszcze mało znanym. Oczekiwano niecierpliwie zjawienia się utworów Morawskiego, a tymczasem unoszono się nad odami i nad kilką wyjątkami Ziemianstwa Koźmiana, uwielbiano gładki i wypracowany przekład Delila przez Felińskiego i jego Barbarę.

Chociaż pomnażała się liczba przekładów z angielskiego i niemieckiego, nikt jeszcze, prócz Brodzińskiego, nie śmiał być samodzielnym pisarzem i czerpać swoich natchnień z obrazów domowej zagrody, z ludowego żywiołu. Przetłumaczenie gładkim wierszem jakiej dydaktycznej poezyi z francuskiego, a cóż dopiero przekład tragedyi z Rasyna lub Woltera, otwierały młodemu pisarzowi wstęp do grona literatów warszawskich. Pod tym wpływem, Tymowski przetłumaczył *Mahometu Woltera*, Zaborowski Tymon *Tankreda*, Brodziński *Templaryuszów* i *Abufara*. Tragedye oryginalne były wierną kopią francuskich; sentencye brzmiące, chociaż pospolite i napszone, stanowiły główną ich ozdobę. Takimi były, Żół-

kiewski i Edyp król, tragedye Humnickiego. Idąc za powszechnym przykładem, przetłumaczyłem na wstępie do pisarskiego zawodu, kończąc lat ośmnaście, w r. 1819, poemacik Leguwego p. t. *Wspomnienia*, wyjątki z Delila i tragedya Maryusz w Minturnie. Jeszcze publiczność nie odbiegła od tego rodzaju literatury i policzony zostałem w rząd wierszopisarzy i tłumaczyów. Na rok wprzód, Bruno Kiciński gładki tłumacz Przemian Owidyusza, założył Tygodnik Warszawski, pismo literackie dla płci pięknej przeznaczone. Wszyscy młodzi pisarze znaleźli u niego życzliwe przyjęcie. Przybył wówczas do Warszawy, Antoni Gorecki, o lat dziesiętek starszy od nas: już bowiem służył w wojsku jako oficer w r. 1812. Nie miał on prostoty i rzewności Brodzińskiego, ale miał dowcip, duch liryczny i znaczne serce, które wykazywało się w jego poezjach; jego śpiewy, a mianowicie bajki pełne dowcipu i oryginalności zjednały mu wziętość. Liczne utwory swoje umieszczał w Pamiętniku Warszawskim, w Dzienniku Wileńskim, a głównie w Tygodniku Kicińskiego.

Franciszek Morawski napisał na współpracowników Tygodnika, satyrę literacką p. t. *Nowy Parnas*; w niej najzawzięciej powstał na Goreckiego i nazwał go jak najnędzniejszym wierszokletą.

Przytaczam ten wiersz, który w owe czasy dla koteryi klassycznej napisany, rozszedł się w licznych kopiach.

NOWY PARNAS.

Wiersz Franciszka Morawskiego, napisany w 1818 roku.

Cóż to? czyż mało cudów widzieliśmy jeszcze,
 Całaż to młodź Sarmacka zamienia się w wieszczę,
 I wieczny cios zadając mowie Słowianina,
 Najpospolitszą nawet, rymem poprzecina?
 Nie dziwisz mię młodzieży takim rymów szaleń;
 Zawsze laur najtrudniejszy był twoim udziałem;
 Stworzyłaś nowy dowcip, nową polską mowę,
 Nowy gust, nowe rymy, nawet głoski nowe,
 I by całkiem odróżnić nasz wiek dziewiętnasty
 Już się nie w laury stroisz, ale w bujne chwasty.
 I któż to nad wszystkimi pierwszeństwo odnosi?

Ciebie to, tym zwycięzcą Nowy Parnas głosi,
 Śpiewaku lasów pińskich, smorgoński Pindarze!
 Ty rozwalone Baki podniosłeś ołtarze,
 I gdzie nigdy nie dosiagli Kozmian i Osiński,
 Tam ciebie z chmurą wierszy wzniosł twój zapal piński.
 Spiesz się w twoim zawodzie obfity Antoni (1),
 Patrzaj ilu pisarzy za twą sławą goni.
 Prześcignąwszy, prócz ciebie, każdego rywala,
 Pędzi szumny Pustelnik (2) z *tryumfem Kinała*,
 Z *okropnym pojedyńkiem* (3) Chotomski go ściga;
 Leci za nim Brykczyński ciężkie *Wiadro* (4) dźwiga;
 Co chwila się potyka, jednak nie ustaje,
 Leci, nawet się Plichcie wyprzedzić nie daje.
 Pędzi z Wołyńskich krain Marcinkowski dzielny;
 Spieszysz i ty z nad Dniestru Molu nieśmiertelny.
 Pędzą drobne amorki, czułych Helikonek,
 Majkowski z *Tryoilem*, z *kwiateczkiem* Leonek (5),
 Wybranowski z Lublina, Czajkowski z Krakowa
 I cała nawet z Płocka zgraja szaradowa.
 Nakoniec wasza zazdrość i rozpacz poeci
 Z pół milionem wierszy, stary Jacek leci.
 Próżno za nim śpieszycie, choć tak wielcy mężu,
 Żaden go nie doścignie, żaden nie dosięże.
 Ach! jest w waszym zawodzie pewien lot tak śmiały,
 Pewien rodzaj wielkości, pewna szczytność chwały,
 Że ich blask choć największe geniusze mroczy
 I nie zniosą go żadne, nawet wasze oczy.
 Lecz sam tylko Gorecki, wśród huku i wrzawy,
 Zdolał się wzbąć w te kraje nieśmiertelnej sławy.
 Tam on będzie wieczyście w tych sferach przebywał,
 Sam się głosił i wiecznie w twarz Baki wpatrywał,
 I któżby tej najwyższej przeczył mu nagrody?
 Któż kiedy śpiewał takie i pieśni i ody?
 Gdzie podobny gust, dowcip i siła i zgodność,
 Gdzie zwłaszcza tak obfita i tak ciągła płodność?
 Czy opiewa jak włoskie nieba mu jaśnieją,
 Jak się Nimfy chichoczą, pomarańcze śmieją,
 Czy jak potok ognisty, co mu z oczu płynie,
 W minucie topi wszystkie lody w Apeninie;
 Czy się wreszcie wśród Koziej ulicy przewali,
 I do świeczki łojowej szumną odę pali:

(1) Antoni Górecki. (2) Gerard Witowski.

(3) Wyrazy podkreślone wyrażają tytuły poematów umieszczonych w Tygodniku.

(4) „Wiadro porwane” poemat Tassoniego, z włoskiego przetłóżony.

(5) Leoa Potocki, syn generała Stanisława Potockiego.

Któżby tym tak wspaniałym zachwycony rymem,
 Śmiał jeszcze z tak potężnym mierzyć się olbrzymem?
 Droga ziemio ojczysta, ciesz się z takiej chwały,
 Nigdy ci twoje dzieje téj chluby nie dały!
 Zgasiłaś dawną sławę twym nowym parnasem
 Okryj się, ucieszona, bujnych laurów lasem,
 Siegnij czołem do słońca, do nieba samego
 I powiedz dumnie światu, ja mam Goreckiego!
 A ty poeto wyższy nad wszelkie krytyki
 Niezliczonemi twory zapełniaj dzienniki;
 Zabijesz twym rozgłosem cały ród pisarzy,
 Wypróżnisz nam papiernie, zamęczysz drukarzy;
 Lecz cię i wtenczas jeszcze, o losie surowy!
 Wśród wieńców tryumfalnych spotka smutek nowy,
 Nie wiem, gdzie się pomieści tak olbrzymia chwała,
 Dla niej świat jest za ciasny, a wieczność za mała.

Widzimy w tym rymowanym pamflecie, wiele żółci, wiele przesady i nadętości, a nic dowcipu. Oburza nas niesprawiedliwe szyderstwo przeciw Goreckiemu wywarte. Czyliż Franciszek Morawski zazdrościł Goreckiemu: bo tenże śmiało mógł z nim iść w zawód i nawet go oryginalnością przewyższał? Nazywać Goreckiego śpiewakiem lasów Pińskich, Pindarem smorgońskim, równać go z najgorszym wierszopisarzem, Baką, była to rzecz niegodna człowieka, mogącego (co téż później nastąpiło) pismami swemi piękne imię pozyskać.

Skutek Nowego Parnasu był ten, że wszyscy pisarze w nim zdraśnięci, umilkli, a Gorecki tak mocno uczuł tę niesprawiedliwość, że spalił już w połowie wydrukowany zbiór poezyi swoich i przez lat 10 nic nie pisał. Tak więc Morawski wytrącił mu pióro z ręki, wtenczas, gdy Gorecki był w samej sile wieku i byłby może ważniejszymi płodami zbogacił poezję naszą.

Wtedy to właśnie poznałem się z Brunonem Kicińskim i posłałem do Tygodnika poemacik *Wspomnienia*. Ujmując się za krzywdę moich starszych braci, a zwłaszcza Góreckiego, napisałem bajeczkę, jako odpowiedź na Nowy Parnas, którą redaktorowie Tygodnika, Morawskiemu przesłali.

Świątynia pamięci.

Któżby nie pragnął, żeby jego imię
 Zżyło na wieki w świątyni pamięci?

Ten swe nadzieje zakłada na rymie,
 Z zacnych, z pocziwych zaleconym chęci;
 Ten nuci piosnkę, a ten na ostatku
 Niesie bajeczkę o ptaszku i kwiatku.
 Lecz duch krytyki z groźnym czołem stoi,
 I wzbrania wniknięcia do świętych podwoi.
 Stałem opodal, trwożny, nieznajomy,
 Patrząc, jak geniusz z pochmurnym obliczem,
 I lekkie kartki i olbrzymie tomy
 Niosących, gromił i odprawiał z niczem.
 Wtém, jakaś postać wysoka, barezystą,
 Z zrozumienia wyrazem i dumą,
 Jakby stworzyła arcydzieł ze trzysta,
 Gwałtem rozpycha wierszopisów tłumy.
 —Stój, rzecze geniusz, jakież twe zasługi?
 Jakiem tu prawem burmistrzujesz sobie?
 Śmiałek rzekł na to: „Prac mych rząd nie długi!
 Nie wielem zrobił, ale co ja zrobię!
 Dotąd, zawistnym uwiedziony szalem
 Jeden pokątny sarkazm napisałem,
 Mowę i ode, przytém bajek troje
 Z żurnala mody podałem za swoje.
 „Ustąp! rzekł geniusz: nie takim sposobem
 Zdolasz u ziomków odżyć po za grobem:
 Wyrzecz się zółci, otwartą idź drogą,
 Gdzie są Krasickich i Karpińskich ślady,
 Bo jeneralskie szyderskie obiady (1)
 Nikomu sławy zapewnić nie mogą.

W parę lat potem, zdarzyła się sposobność większego odwetu, za to lekceważenie młodszych pisarzy.

W roku 1820, objąłem wspólnie z Dominikiem Lisieckim, redakcyę Tygodnika Warszawskiego nazwanego Wandą: bo Kiciński założył pismo polityczne i niém się wyłącznie zajmował. Lisiecki udał się do Morawskiego, prosząc go, aby do naszego dziennika raczył przysyłać swoje poezye: lecz Franciszek Morawski zbył go obojętnym słowem, a potem dał się słyszeć, że w tak blahém piemku, prac swoich umieszczać nie będzie. Odpowiedź ta doszła do nas i rozbudziła dawniejszą niechęć za Nowy Parnas.

Pułkownik Morawski zajmował się już od lat sześciu przekładem Andromaki, tragedyi Rasyna; wyjątki z niéj czytywał

(1) Generała Wincentego hr. Krasińskiego.

w salonach arystokracji naszej; rozgłos o tém dziele rozchodził się po Warszawie i wszyscy mówili, że tłumacz dorówna Osińskiemu. Aktorowie, mieli wówczas, oprócz niewielkiej pensyi miesięcznej, swoje benefisa i powinni byli wystarać się o nową sztukę, a dochód z niej po opłaceniu kosztów, wyłącznie do benefisanta należał. Werowski, jeden z najcelniejszych aktorów tragicznych, przyszedł do mnie, prosząc żeby mu dać jaką tragedya na benefis. Szatan złośliwości i psoty podszeptał mi. „Przetłumacz i daj na scenę Andromakę Rasyna; odbierzesz Morawskiemu chwałę pierwszeństwa, a tym sposobem najlepiej odpłacisz mu za ton wyższości i szyderstwa, który względem młodszych przybiera.” „Jak powiedział tak się stało, mówi przysłowie.” W trzy miesiące przekład Andromaki był gotów, w sześć tygodni potem, w marcu 1821, wystawiony został na scenie i z oklaskami przyjęty. Osiński dyrektor teatru i przyjaciel Morawskiego, niechętnie spoglądał na ten postępek; po trzech wystawieniach zaniechał dalszych i czekał dopóki Morawski nie wykończy swego przekładu.

II.

W roku 1824 zupełne odrętwienie zaległo w piśmiennictwie; ustał Pamiętnik Warszawski dla braku prenumeratorów; pomniejsze dzienniki zakładane przez młodych poczynających pisarzy, upadały po trzech lub sześciu miesiącach bytu swego. Wtenczas to, wróciwszy do Warszawy po trzech letnim pobycie na wsi, wyłącznie zająłem się pracami literackimi, zacząłem wydawać Bibliotekę Polską, literackie pismo dwu tygodniowe. Sam tylko Lelewel i Adam Chłędowski dopomagali mi swemi artykułami. Starsi literaci nie raczyli przysyłać prac swoich do pisma, którego redaktor miał dopiero lat 24, a na inny dziennik zebrać się nie mogli. Umyśliłem następnie, rozpocząć wydawnictwo na większy rozmiar i zniżyć cenę książek.

Jako redaktor, tłumacz i wydawca dzieł, miałem współzawodników, którzy wkrótce potem poszli za moim przykładem, a nie poprzestając na ubieganiu się o lepsze co do treści rzeczy, uciekali się do broni nie zawsze zgadzającej się z literackim zawodem. Księgarze gniewali się żem zniżył

cenę książek z rubla na kop. 30. Żądano odemnie, żebym zaniechał własnych przekładów i nabywał gotowe tłumaczenia. Daremnie odpowiadałem tym panom, że naznaczywszy tak niską cenę za tom, mam tylko tyle dochodu, ile sam zapracuję jako tłumacz, a więc rękopismów kupować nie mogę. Redaktorowie pism współzawodniczących dążyli do monopolu literackiego, bo to jest rzecz nader dogodna i zyskowna i nie przebierali w środkach. I tak, gdym już miał ogłosić prenumeratę na tłumaczenie powieści Walter Skotta po k. 30 za tom i prospekt podałem do cenzury, natychmiast w *Gazecie Polskiej* zjawiała się recenzja mego tłumaczenia powieści *Ryszard w Palestynie* przed trzema laty wydanego. Wytknięto najdrobniejsze nawet usterki stylu i ostrzeżono czytelników, żeby nie prenumerowali tłumaczeń, które wydać zamierzam. Były tam sprawiedliwe uwagi, z których na przyszłość korzystałem, ale jakiż był cel tego artykułu tak późno napisanego? Oto prosta chęć szkodzenia. Autor tej psoty nie dosięgnął zamiaru swego, a to przez zbyt szybki pośpiech. Wstrzymałem się z ogłoszeniem prospektu; tym czasem wydrukowałem cztery tomy *Astrologa*, a po trzech miesiącach, kiedy publiczność zapomniała o krytyce, ogłosiłem prenumeratę, wydałem moje tłumaczenia i w krótkim przeciągu czasu sprzedawałem tysiąc dwieście egzemplarzy.

O tej okoliczności wspominałem tylko dla tego, że takie napaści z osobistego interesu wynikłe, budzą rozdrażnienie i niechęć wzajemną, i w nich to, nie zaś w wyższych celach, szukać potrzeba źródeł owoczesnych walk literackich. Ale jeszcze wspomnieć muszę o jednej okoliczności, do tego samego rzędu faktów należącój.

Czy godzi się własne dowcipy, a zwłaszcza takie, które komuś przykre być mogą, ogłaszać pod nazwiskiem tego, z kim nie mamy żadnych ściślejszych stosunków i ściągać na niego urazę i niechęć? Takiego postępku dopuścili się pp. Bohdan Zaleski i Stefan Witwicki, wówczas młodzi jeszcze.

Pan ordynat Stanisław hr. Zamojski, chciał założyć i wydawać własnym nakładem, dziennik literacki i historyczny, pod tytułem: *Pamiętnik Imienia Zamojskich*; na redaktorów tego pisma wezwał pp. A. E. Odyńca i J. K. Ordyńca, ofiarując im pomieszkanie w zabudowaniach pałacu, stół

wspólny z JJWW. Ordynatowstwem i po sto dukatów rocznej pensyi. Umieścił ich w oficynie małej, na pierwszym piętrze, w dwóch pokoikach, których okna wychodziły na ogród Saski, i dał im kilkadziesiąt zeszytów dziennika p. t.: *Przegląd Angielski* wydawanego w Genewie, żeby z nich wybierali i tłumaczyli artykuły do owego Pamiętnika imienia Zamojskich. Pomysł pana Ordynata wykazuje, jak mylnie miał wyobrażenie o wydawaniu dziennika i jak wysoko cenił wszystko, co było cudzoziemskie a zwłaszcza angielskie. Upłynęło więc jak rok, a na stanowcze wydawanie Pamiętnika imienia Zamojskich, pan Ordynat zebrać się nie mógł. Nudzili się dwaj przyszli redaktorowie, poznali że pobyt w domu Ordynata żadnych im widoków nie przedstawia, już zamyślali rozstać się ze swoim mecenasem, gdy niespodzianie rozszedł się po Warszawie wierszyk, na igraszcze słów oparty a mnie przypisany:

Odyniec i Ordyniec, z Ordynata łaski
Umieszczeni ordynkiem, patrzą w ogród Saski.

Wiersz ten był w gruncie rzeczy naigrawaniem się z osobistości, przechodził więc za obręb literackiego epigrammatu. Kto był jego autorem, niech to wyjaśni czytelnikom, list p. A. E. Odyńca, pisany do mnie, po upływie lat trzydziestu i dwóch, a zamieszczony w Kronice Wiadomości Krajowych i Zagranicznych w numerze 56 z r. 1859 z dnia 6 września.

„Gdybym się kiedy zabrał (pisze do mnie p. A. E. Odyniec) jak niekiedy myślę sobie, do kreślenia moich literackich wspomnień, które za jakie lat kilkadziesiąt nie byłyby może bez interesu dla nowego pokolenia, kiedy już i my i wszyscy nasi współcześni położymy się na wieczny spoczynek; oddałbym najzupełniejszą sprawiedliwość i sercu i charakterowi i postępowaniu twojemu, w owój walce klasyków z romantykami, o której dziś nawet, żyjące ale już młodsze od nas pokolenie, nie ma zgoła prawdziwego wyobrażenia, a tylko ze słuchu najdziwniejsze nie raz baśnie powtarza. W baśniach tych i ty także figurujesz zazwyczaj, jako najzażartszy wróg, jako nieubłagany Zoil nowój szkoły i młodych jej wyznawców. Kiedy przeciwnie, pamiętam doskonale, ile to razy starsi klassycy zarzucali ci, że siadasz na dwóch stołkach, to jest że

nie chcesz być bezwarunkowym organem ich zdania i sądu, z którym sami wystąpić nie śmieli; ile razy, w owych żartkich dysputach moich z Osińskim i z zacnym i szlachetnym w duszy, choć nie raz nazbyt unoszącym się Koźmianem, stawaleś po mojej stronie; ale też i ty musisz pamiętać nawzajem, ile razy ja cię także broniłem przeciw zapamiętałym romantykom, którzy się najniesprawiedliwiej częstokroć Bóg wie za co, do ciebie czepiali, jak np. za owe wiersze:

Odyniec i Ordyniec z Ordynata łaski,
Ordynkiem osadzeni patrzą w ogród Saski.

Pamiętasz jak mój sąsiad p. Jan Kazimierz Ordyniec oburzał się za to na ciebie i mścił się epigramatem wzajemnym, podczas gdy ty jak to mówią Boga duszę był winien. Bo choćbyś nawet i napisał te wiersze, to cóż w nich było obraźliwego dla nas? Lecz prawdziwym ich autorem był Bohdan Zaleski, który przyszedłszy raz z Witwickim, pod moje okno wychodzące na ogród Saski i nie mogąc się dowołać, gdyż nie byłem w domu, abym im rzucił klucz od furtki, zaimprovizował ten niewinny żarcik. Potem, gdy te wiersze rozbiegły się po całej Warszawie i obudziły gniew Ordynca, przyszedł do mnie, znowu z Witwickim jako świadkiem, i opowiedział rzecz całą, wyciągnąwszy na słowo, że to zostawię przy sobie i nazwiska jego w tę sprawę nie wmiczam.

„Ach! mój drogi panie Franciszku Salezy, jak te drobne napozór wspomnienia budzą we mnie w tej chwili miłe i rzewne uczucie! Gdzie są te czasy, ci ludzie? Jakże to już nas mało z owej epoki zostaje, a za lat kilka lub kilkanaście może i żadnego nie będzie! Owóż póki jeszcze jesteśmy, przeczytawszy Wspomnienia twoje, uczułem w sercu popęd i potrzebę odezwania się do ciebie.

„Odczytawszy ten list, dodam jeszcze z powodu wzmianki o Koźmianie, że w ciągu czterech czy pięciu ostatnich lat jego życia, byłem z nim w najprzyjaźniejszych listowych stosunkach, a te listy, w połączeniu z dawnymi wspomnieniami, liczę do bardzo drogich pamiątek; znajdują się w nich bowiem dowody, jak ten zacny starzec otrząsnąwszy się z dawnych uprzedzeń, a zawsze równie sztuką i chwałą literatury ojezystej zajęty, całém sercem przychylił się i przyłączył do ostatnich

dzieł. W jednym z listów jego, znajduje się pochwała Obrazów Chodźki, i poezyi Syrokomli, którą możnaby tylko porównać pod względem uniesienia, z jego sarkazmem, który na pisarzy wileńskich miotał na obiadach generała Krasińskiego.

„Tu także mam za obowiązek, dodać o Mickiewiczu, w stosunku do ciebie, że on nie tylko nie miał dla ciebie żadnej osobistej niechęci, ale cię jako pożytecznego pisarza i pracownika w literaturze sam szacował. (o czém jak mi się zdaje musiałem kiedyś pisać do ciebie z Rzymu (1) i tylko śmiejąc się mówił, że w swojej przedmowie o recenzentach, mierzył nie tyle do ciebie samego, jak przez ciebie do wszystkich recenzentów warszawskich.”

Z tych ostatnich wyrazów listu p. A. E. Odyńca, pokazuje się, że Mickiewicz nie przywiązywał takiej wagi do swojej przedmowy, jaką potem jej nadali wszyscy autorowie czy to krótszej czy obszerniejszej historii literatury naszej, kiedy wzięli ją za podstawę swoich rozprawiań i sądzili, że parafrazując jej myśli, już nie potrzebują sami czytać i oceniać dzieł dawniejszych autorów.

Napisałem nie jeden epigrammat albo wiersz satyryczny, i nigdy się nie zaparł mego utworu; lecz dzięki Bogu nie dopuściłem się takiej niedelikatności, czyli po prostu mówiąc złej wiary, jak panowie Zalewski i Witwicki.

W Bibliotece Polskiej z r. 1825 i 1826, zamieściłem moje sprawozdanie krytyczne o pierwszych dwóch tomach poezyi Mickiewicza, o poezyach Witwickiego i Odyńca, o Pojacie Bernatowicza, o Julii i Adolffie Kropińskiego, o Edypie tragedyi Humnickiego. Nie mogłem zgodzić się z powszechnym rozgłosem. Kiedy teatr trząsł się od oklasków na wystawieniu Edypa, kiedy wydzierano sobie z ręku Pojatę, a damy nasze płakały nad romansową powieścią Kropińskiego, bez wahania się wytknąłem fałszywe błyskotki Edypa, brak życia i zajęcia w Pojacie, nicość i pretensjonalność Julii i Adolfa. Że miałem prawdę po sobie, zapomnienie, w którym pograżono owe niegdyś tak głośne twory, jest najlepszym na to dowodem.

Osiński i Koźmian wykształcili się od lat młodocianych na wzorach literatury łacińskiej, niemi przesiąkli i stali się, że tak powiem wierną ich fotografią. Takie naśladownictwo,

(1) List ten nie był doszedł do rąk moich.

o ile kształci rozsądek, ogładę i poprawność, o tyle obojętném czyni na uczucia tkliwe, rzewne, religijne i filozoficzne, na obrazy z żywój natury zdjęte. Dla Osińskiego i Koźmiana, czystość dykcji była głównym obowiązkiem poety, a maksymy zwięzłe wydane, szczytem poetycznej piękności. Przypominam sobie, że raz w obec Osińskiego wychwalał *Wiersz na Alpach*, pisany przez Brodzińskiego, a mianowicie ów obraz wieśniaków szwajcarskich, którzy nie chcieli opuścić wioski swojej, zasypanej odłamem góry.

Jeszcze drugą połowę grozi straszna skała,
A już na gruzach dawnój nowa włość powstała;
Odkwitają na nowo winnice i sady
I różne wiodą płasy ochocze gromady,
I nowa Opatrzności świątynia się wznosi,
I lud w niej ojców wiarę, ojców ufność głosi,
Bo gdy wszędzie śmierć godzi, milej tam jęj dożyć,
Gdzie przy próchach naddziadów swoje mozem złożyć.

Osiński odpowiedział mi: „Ta myśl jest stokroć silniej oddana w dwóch wierszach Kornela”. Nie czuł więc tego, że powinniśmy wpływać nie tylko na umysł, ale i na serce człowieka. Do pierwszego, służy zwięzłe maksymy, do drugiego, tkliwe i rzewne obrazy. Poprawność i gładkość była w zdaniu Koźmiana i Osińskiego najważniejszą zaletą. Jakibądź utwór poetyczny, tracił w ich oczach całą wartość, jeżeli w czémkolwiek bądź nie czynił zadosyć tym dwom prawdom. Dla tego też, obadwa czytając Mickiewicza *Dziady*, i znalazłszy w nich te wiersze powzięte z obrzędów ludowych:

Gdy gardzisz mszą i pierogiem,
Idźże sobie z Panem Bogiem;
Wszak widzisz święty krzyż,
A kysz, a kysz, a kysz!

cały ten utwór poczytali za dziwaczny i śmieszny. Nie mogli ich oderwać od tego przekonania, ani obraz upióra, niegdyś dziedzica włości, ani opis męk, które za okrucieństwa swoje cierpieć musi, ani pełne zapału i głębokich myśli wynurzenia Konrada w *Dziadach* części czwartej. Nawykli do systematycznego układu *Georgik* i *Encidy* Wirgiliusza, nie mogli zrozumieć tajemniczości poematów Bajrona i Mickiewicza; przed-

mioty powzięte z wyobrażeń i podań ludowych, uważali za niegodne natchnienia poety, a nie widząc narodu w całym ludzie, lecz ograniczając go do wykształconej, a tém samém i uprzywilejowanej klasy, to tylko czcili jako poezją, co z ich pojęciami zgodne było. Dobrowolnie zatem ścieśniali zakres uczuć i wyobrażeń swoich. Jednakże, trzeba im oddać tę sprawiedliwość, że okazali duch poetyczny i natchnienie tam, gdzie znaleźli dla siebie przedmiot z dziejów i z położenia kraju wynikający. Tak więc, ci dwaj pisarze coraz to bardziej odosobniali się od młodego pokolenia i nareszcie z końcem roku 1830 zostali sami. Ani jeden ani drugi nie wdawali się w rozprawy krytyczne, nie walczyli przeciw coraz to silniejszemu prądowi. Jedynym pomnikiem ich niechęci i oporu, są teraz ogłoszone ich listy w *Obozie Klassyków* pana Siemińskiego i głośna parodia Osińskiego, dwóch wierszy Mickiewicza.

III.

Gdzież więc toczyła się owa walka klasyków z romantykami, uwieńczona nową szkołą zwycięstwem, walka, która skłoniła Mickiewicza do napisania przedmowy obejmującej rzecz o krytykach i recenzentach warszawskich?

Wszyscy dzisiejsi literaci odwołują się do Mickiewicza. Była walka, mówią, skoro o nią pisał Mickiewicz, bo w przeciwnym razie nie byłoby przedmowy poety. Cóż na taki argument odpowiedzieć? Oto, trzeba czynić mozolne poszukiwania w dziennikach i ulotnych pismach, wydawanych przed 40-tu kilku laty, a to rzecz nużąca i niepożyteczna pod materyalnym względem. A więc, jako żywy świadek i uczestnik tych sporów, powiem po prostu, że walki takiej o jakąż teraz piszą, nie było.

Przez walkę piśmienną o literackie kwestye, rozumiem rozprawy o zasady sztuki, rozumiem gruntowne ocenienie podług tychże zasad, dzieł zgodnych z niemi, albo im przeciwnych.

Takich rozpraw ani krytyk nie było. Żaden z naszych klasyków nie wystąpił przeciw romantycznym twórcom, nie odwoływał się do przepisów Horacyusza i Boala, nie opierał się na dawniej powadze, jak to uczynili klassycy francuzcy

walcząc przeciw Wiktorowi Hugo i innym pisarzom romantycznym. Listy Koźmiana po 40-tu latach wydobyte z zapomnienia, docinki ustne w szczupłym kółku wyrzeczone, oto są jedyne objawy słabego oporu naszych klasyków. I czyż można to za walkę literacką poczytać?

Przeciwnie zaś, owoczesne dzienniki literackie, a przed wszystkimi moja Biblioteka Polska, zamieściła zarysy o życiu i dziełach romantycznych pisarzy, jako to: o Bajronie i Goethem i t. d. Religijno filozoficzne poezye Lamartina przełożono na wiersz polski, skoro się tylko ukazały, a Dziennik Warszawski ogłosił kilka rozpraw M. Mochnackiego o poezyi romantycznej; mogłem więc śmiało w r. 1829 napisać te słowa:

„Żadne gwałtowne przygany piśmienne, piętno uprzedzenia i zawiści noszące, nie ubliżyły pracom młodych romantyków naszych. Poszły u nas rzeczy spokojnym i właściwym trybem, z którego pochlubić się możemy; a gdy w innych narodach, przy starciu się wyobrażeń dawnych z nowymi, zarzucano dzienniki mnóstwem wybuchów namiętności i rozdrażnionej miłości własnej; kiedy starsi z całą przewagą wieku powstawali na młodszych, u nas nic się podobnego nie zdarzyło. Przeciwnie, i o tém ze smutkiem wspomnieć muszę, jako o rzeczy dopełniającój obraz dążności literatów naszych: powstało w stolicy stronnictwo z zapalonych umysłów złożone, nieprzyjazne wszystkiemu co się z jego wyobrażeniami nie zgadza, nieprzyjazne całej naszej naukowój przeszłości. Chcę wierzyć, że szczerą gorliwość o wzrost literatury ojczystej, niém powoduje. Ale jakichże środków używa? Czyliż mówienie z lekkością, a nawet z pogardą o ludziach tak szanownych jakim jest Śniadecki, Piramowicz i inni, odpowie temu zamiarowi? Czyliż za nic wazenie celujących płodów literatury francuzkiej, którym i długi przeciąg czasu i sąd najświatlejszych osób, nietylko u nas, ale w całej Europie, wysokie przyznał zalety, może jaki pomyślny skutek sprawić? Czyliż naigrawanie się z tłumaczów tych tworów, pomnoży skarby naszej literatury? Czyliż jaki przesadny i szyderczy artykuł w gazecie, o Cydzie lub Ziemiaństwie Delila, zastąpi dla czytelników wartość Cyda i Ziemiaństwa?

Nie takim to sposobem dążyć potrzeba do zbliżenia wyobrażeń, do wzrostu literatury ojczystej. Szanujmy prze-

szłość, a wspólnemi siłami gorliwie nad dobrem przyszłości pracujemy."

Jeżeli zaś tu i owdzie znalazła się krytyka jakich romantycznych utworów, to była wymierzona nie przeciw Mickiewiczowi, Zalewskiemu, Odyńcowi i Goszczyńskiemu wyobrazicielom nowej szkoły w poezji, lecz przeciw ich nie-
trafnym i coraz nieszczęśliwszym naśladowcom.

Odczytajmy przedmowę Mickiewicza, znajdziemy w niej odpowiedź na uwagi o używaniu prowincjonalizmów i wyrazów z obcego języka wziętych, a tych było zaledwie kilka, np. co dnia, zamiast *codzien*, po świecie zamiast *po świecie*, do taty zamiast *do taty*. Cała zaś przedmowa składa się z zarzutów czynionych literatom warszawskim, że zatrzymawszy się na dawném stanowisku, nie znają i znać nie chcą nowych pojęć o poezji. Nie jest więc obroną, ale wstępnym bojem.

Listy zamieszczone w *Obozie Klassyków* p. Siemińskiego, wyjaśniają rzecz całą. Mickiewicz otrzymywał wiadomości o tém, co Koźmian i Osiński o jego pracach mówili. Nie przytaczam wyrazów Koźmiana: wykraczają bowiem nie tylko przeciw umiarkowaniu, ale nawet przeciw prawdzie i rozsądkowi; mógł przeto Mickiewicz oburzać się na ich zdania, a nie znając Warszawy, wyobraził sobie że je cała publiczność podziela. Jedna tylko była recenzja, a raczćj sprawozdanie o pierwszych dwóch tomach poezji Mickiewicza. Napisałem ją i zamieściłem w Bibliotece Polskiej z r. 1825: o to są najglówniejsze z niej wyjątki.

„Mickiewicz, w poezjach swoich okazał wszystkie przy-
mioty, które są udziałem znakomitego poety. Dar wynale-
żenia i opisywania, głębokie czucie, śmiałość i wzniosłość
myśli, świetność i piękność stylu: chociaż nie zawsze jest
poprawnym i wolnym od zarzutu: przyznało mu jednozgo-
dnie zdanie powszechne. Jego poezye, lubo w szczupłej licz-
bie, tak są rozmaite, i pod tak różnemi względami okazują
jego talent, iż zdaje się że nie ma rodzaju w którymby Mic-
kiewicz nie mógł celować. Kto chce znaleźć świetną, lekką
i wdzięczną wyobraźnię, tajemniczym pokrywającą się uro-
kiem, niech czyta Switeziankę. Większą powagą i uroczy-
stością oddycha ballada Switez, w której autor opisuje da-
wne podanie o nieszczęśliwej zagładzie zamożnego niegdyś
miasta. Tkliwa prostota odznacza balladę Rybka; w balla-

dzie Lilie, znaną powszechnie pieśń gminną o zbrodni i ukaraniu wiarołomnej żony, podniósł i uszlachetnił, nie uszkadzając w niczem jej prostoty. Wesołość i żywość akcji komicznej zaleca dwie ballady: To lubię i pani Twardowska. Myśli najmocniej przemawiające do serca i z serca wylane znajdujemy w Dudarzu. Tom pierwszy dzieł Mickiewicza, tak jawne, tak uderzające ma zalety, że nawet najzaciętsi przeciwnicy romantyczności zamilknąć musieli, i rzekli tylko: „Przyznajemy że Mickiewicz ma wielkie zdolności, ale dla czegoż ich na złe używa? dla czego nie idzie tą drogą, którą postępowało tylu znamienitych poetów, dla czego wynajduje dziwaczne podania i powieści gminne, a zamiast wznosić poezją, zniża ją do gminu?” Jakże łatwa odpowiedź na takie zarzuty! To właśnie jest cechą prawdziwego talentu i geniuszu, że nie chce iść drogą naśladowania, że sam dla siebie tworzy nowy rodzaj, a z dzieł jego, krytycy i naśladowcy wyprowadzają nowe prawidła. Jeżeli Greków zajmowały powieści mitologiczne, to zapewne dla tego, że to były ich własne, ich ojczyste zmyślenia; głównie i dla nas, cudowność na podaniach naszych i religii oparta, większe ma powaby, niżeli odwieczne po tysiąc razy powtarzane Apoliny, Bachusy i Jowisze.

Wrodzoną jest w sercu człowieka tęskność do świata nadzmysłowego; tam on swój cel postrzega, tam widzi kres swoich cierpień. Za życia jeszcze, pragnie się z nim łączyć, porozumiewać. Wyobraźnia jego zapala się, każde miejsce samotne, spustoszone, zaludnia nadzmysłowemi tajemniczymi istotami. Szmer liści, szum wiatru, promień księżyca, przynosi mu westchnienie i obraz drogich osób które postradał. Wśród wrzawy świata zaciera się w nas to uczucie; zimny rozsądek każe nam często wstydzić się uniesień wyobraźni i uczuć serca; płochy dowcip okrywa je szyderstwem: jakoż łatwo mu takięj broni używać; ostateczności się łączą, a dla obojętnego człowieka nic nie może wydawać się śmieszniejszém, jak uniesienia rozpalonej wyobraźni i wylania czułości. Lecz na takie pociski najtrafniejszą znajdujemy odpowiedź w wierszu Mickiewicza p. t. Romantyczność. Po stracie kochanka, nieszczęśliwa dziewczyna w obłąkaniu rozmawia z nim, jakby z żyjącym, a na jej głos lud prosty woła: „Mówcie pacierze, to musi być jego dusza; ona to odzywa się do téj nieszczęśli-

wój." Starzec chce ich wyprowadzić z błędu. Nie tu nie-ma rzeczy, duchy są tylko utworem głupstwa gawiedzi.

Dziewczyna czuje, odpowiadam skromnie,
A gawiedź wierzy głęboko;
Czucie i wiara silniej mówią do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko.
Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
Widzisz świat proszku, w każdej gwiazd iskierce,
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu:
Miej serce i patrzaj w serce.

Skreśliłem następnie zarys Dziadów i rzekłem: że w nich autor rozwinął całą swoją zdolność i w nich się naj-więcej okazał poetą.

„Mowa Konrada niema na pozór związku i wydaje się być mową obłąkanego człowieka, lecz wszystkie jego słowa zwracają się do téj namiętności, która przywiodła go do odebrania sobie życia: wszystkie są przypomnieniem uczuć, rozkoszy i cierpień przeszłych. Nie wiem, czyli któremukol-wiek autorowi ustępuje Mickiewicz w oddaniu uniesień i za-pału miłości. Ileż w téj części Dziadów znajduje się poe-tycznych obrazów, wielkich i nowych myśli! Jak mocno zaj-muje obraz ostatniego pożegnania się z kochanką? Jak bo-lesne czyni wrażenie przybycie tego nieszczęśliwego po dłu-giem oddaleniu do ojczystej zagrody, którą zastaje opuszczo-ną, a tę, której swoje serce i całe istnienie poświęcił, wcho-dzącą z innym w związek małżeński. Lecz muszę ograni-czyć się w wyliczaniu szczegółów, gdyż nie ma prawie jedne-go wiersza, jednej myśli, któraby nie nosiła cechy wyższego talentu i nie była godną wspomnienia. Że ogólny pomysł Dziadów jest nadzwyczajnym, a nawet dzikim, że w czytaniu nieustanne przenoszenie się od myśli do myśli zupełnie sobie przeciwnych, utrudza umysł, że mógłby był autor też same piękności szczegółowe umieścić w dziele tworzącem regular-niejszą całość, wszyscy się na to zgodzili. Ależ czyliż dla tego mamy potępiać Mickiewicza, mamy być nie czuli na je-go zalety? Kto chce sprawiedliwie ocenić autora, ten nigdy przeciw niemu iść nie powinien; trzeba postawić się w jego miejscu, wyrozumieć jaki miał cel i wybadać czyli go osią-gnął. Jeżeli tego dokazał, jeżeli zajął wyobraźnię i serce wzruszył, nie pytajmy się, dla czego tą, a nie inną poszedł drogą.”

Następnie powiedziałem kilka słów o zakończeniach prowincjonalnych i dodałem: „Obok tylu piękności nie zwracałbym na nie uwagi czytelników. Uczyniłem to dla przestrogi naśladowców, którzy częstokroć zamiast zalet przejmują błędy pisarza.”

Z powyższych słów łatwo można określić pogląd mój na utwory naszych romantycznych autorów. Był on prawie ten sam co i Morawskiego. Jako młody, czułem piękność poezji nowożytniej; jako nawykły do poprawności i gładkości klasycznych wierszopisów, z przykrém wrażeniem natrafiałem na usterki, przeciwne prawidłom grammatyki i przepisom dobrego smaku. Chciałem, żeby nasi romantycy, celujący śmielszym polotem wyobraźni, mocniejszém czuciem i głębszą myślą, nie poczytywali zaniedbania elementarnych prawideł, za jakiś rodzaj zalety, za swobodę im należną.

„Mędrcomie starożytności, napisałem w jednym z moich ówczesnych artykułów: upominali jak najmocniej o troskliwość w wykonaniu, o poprawność, o czystość stylu. Cóż nasi gazeciarscy literaci stawiają nam w miejsce tych prawideł? Oto natchnienie. Niech idzie poeta za natchnieniem, niech płody fantazyi swojej wyraża w słowach, jakie w téj chwili na myśl mu przyjdą; niechaj nawet prawidła języka łamie, jeżeli mu tego do sprzęgania rymów potrzeba,—a biada szkolnemu krytykowi, który zechce roztrząsać dzieła mające w sobie jakąś nadziemską siłę, jakiś wpływ nadprzyrodzonej władzy. Podług nich, każde wyrażenie jest dobre, każde słowo stosowne i właściwe, każdy błąd gramatyczny święty i nietykalny, skro go natchniony poeta użyje. Szczególniejsza teorya, dogodna tak dla krytyków, jak dla autorów; jednym pozwala pisać, co im przyjdzie do głowy; drugim rozkazuje słuchać, dziwić się i chwalić. Nie ze szkolnych to i drobiazgowych przepisów pojmuje krytyk, jaki styl, jakie wyrażenie jest najwłaściwsze w dziele poety, ale z przejścia się duchem autora, z silnego uczucia jego piękności. Jeżeli wchodząc w jego myśli, przejęty, uniesiony niemi, nagle natrafia na wysłowienie, które mimowolnie śmieszność obudza lub niesmak sprawia, czyliż niema prawa uzalić się na nie i żądać od autora, żeby usunąwszy tę skazę, nadał pracy swojej tę doskonałość, do jakiej zdolną ją czyni i rodzaj dzieła i talent poety.”

Mniemam, że tych zdań nikt nie poczyta za ubliżenie romantycznemu pisarzom, nikt winić mię nie będzie o dążenia sprzeczne postępowi naszej literatury.

Ówczesni warszawscy wielbicieli romantyczności, tak dalece nie cierpieli wszelkiego umiarkowania, że nawet pierwszy u nas zwiastun i głosiciel nowych pojęć poetycznych, Brodziński, uszanowany przez klasyków, doznał jak najgwałtowniejszej napaści, za to że w rozprawie o *Egzaltacji i Entuzjazmie*, zwracał umysły na drogę umiarkowania, a tém samém na drogę prawdy. W Gazecie Polskiej, r. 1830 J. B. Ostrowski przypisał mu dążności przeciwnie postępowi, szkodliwe piśmiennictwu, a nawet dobru kraju. Brodziński tak boleśnie uczuł te niesprawiedliwe zarzuty, iż wstrzymał wydanie drugiego i trzeciego tomu pism swoich, w których chciał zamieścić kursa literatury, dziś z wielką szkodą naszą zatracone na zawsze.

W roku 1826 wyszły z druku Sonety Mickiewicza, kiedy już wszyscy, prócz dwóch klasyków, uznali go za najznakomitszego poetę. Gazeta Polska będąca organem młodych literatów, ogłosiła Sonety za ideał doskonałości, podług którego ma się rozwijać nowa poezya nasza. Oprócz tego, zwała się chmara naśladowców, którzy mniemali, że będą znakomitemi uczniami swego mistrza, jeżeli nie mając ani jego geniuszu, ani nawet cienia jego talentu, będą pisać ballady zaczynające od jakież to? albo któż to? będą psuć formy gramatyczne, a wzniosłe myśli nadętością i ciemnotą zastąpią. Głoszono najdziwniejsze teorye, utrzymywano że poeta powinien gardzić poprawnością, szlachetnym stylem, i wszelkimi zasadami smaku. Wśród takich to okoliczności napisałem artykuł o sonetach Mickiewicza. Widząc powodzenie coraz to gorszych utworów, podszywających się pod chorągiew romantyczności, czyliż nie można było na chwilę przypuścić, że poezye Mickiewicza nie są początkiem nowego twórczego polotu poezyi naszej, lecz początkiem zepsucia smaku i języka? Pod ciężarem téj myśli, która dzięki Bogu pokazała się błędną, napisałem te słowa:

„Sonety Mickiewicza, uważane jedynie pod względem talentu i ducha poetycznego, są dlań nowym wieńcem; lecz mogą być wzorem dla młodych pisarzy, mogą silnie wpływać na wyobrażenie o poezyi. Jakież więc owoce przynio-

sa? oto zwrócić mogą do mistycyzmu, do pomysłów pierzchających przed okiem rozwagi, jak mary senne; oto przyłożyć się mogą do uszkodzenia właściwego ducha naszej poezyi, którego stworzył Kochanowski, którego obudził Karpiński i Kniaźnin, którego w Wiesławie, dumkach i pieśniach rolników wznowił i odrodził Brodziński."

„Poważna i spokojna, jak nasze pola, rzeki i lasy, czysta i szlachetna jak serca rolniczego ludu, tchnąca zamilowaniem cnót domowych, szczerością, otwartością i prostotą obyczajów, taką okazuje się poezya nasza w powyżej wspomnianych pisarzach, taką szanujemy, pielęgnujemy, kochajmy, taka najsilniej do serc naszych przemawia.”

Przypuszczenie powyższe, rozdrażniło Mickiewicza, a połączone z oburzeniem wzbudzonem przez ustne docinki Osieńskiego i Koźmiana, skłoniło go, że wylał urazę swoją w znanej przedmowie, chcąc zaś kilku żyjących dotknąć, potępił razem z nimi i tych już oddawna zgasyłych pisarzy, którzy dla oświaty i języka ważne i niezaprzeczone zasługi położyli. W tém miejscu, to jeszcze dodać winienem, że główną myślą literatów z pierwszych lat dziewiętnastego wieku, było przestrzeganie czystości języka; mieli w żywej pamięci jak niedolnym stał się, kiedy go zapełniły makaronizmy łacińskie, a skaziła przesada. Obawiając się tychże samych skutków przy napływie niemieckich i francuzkich wyrażen i zwrotów; woleli, żeby uboższy był w wyrażenia, mniej malowniczy i do toku pięknej gładkiej prozy zbliżony, a nie wsiąkał w siebie obcych form, z duchem ogółu niezgodnych. Wiedzieli, że taki język łatwo zubożać się i rozwinić, w ustach wzniosłego mówcy, w pieniąch natchnionego poety. Dzieła celujących pisarzy nowej szkoły udowadniają trafne ich rachuby. I cóż więc? Za to że młodszemu pokoleniu zostawili do użytku mowę czystą, harmonijną, szlachetną; stali się celem szyderstwa tych, którzy najwięcej z ich mozolnej pracy korzystali, i tych co szumnymi i wybitnemi wyrażeniami, usiłując brak myśli zastąpić i kłamane uczucia wyrażać.

Co do mnie, jeżeli przez co pozyskałem nazwisko klasyka, to zaiste nie przez nieuznawanie piękności literatury romantycznej; lecz przez to chyba, że wytykał i ganił błędy grammatyczne i wyrażenia niegodne z przepisami dobrego smaku.

Po latach blisko czterdziestu, to mogę powiedzieć bez próżnej chluby, że zawsze uznawał geniusz Mickiewicza i że nowożytna poezja nasza nie zmieniła téj cechy, o jakiej wspomniałem w powyżéj przytoczonych i kursywą odznaczonych wyrazach. Czyliż pan Tadeusz nie nosi jéj najwydatniejszych znamion? Najznakomitsze utwory Pola, Syrokomli, Lenartowicza i kilku innych, czyliż nie są obrazem naszych obyczajów i smutków? naszych siód, rzek i lasów i te właśnie utwory pozyskały największe upowszechnienie i współczucie.

Ani Koźmian, ani Osiński, ani Morawski, nie chcieli wystąpić przeciwko przedmowie Mickiewicza; bo w rzeczy samej trudno było walczyć w obronie dawnych przepisów Horacego i Boala, a nie uznawać nowych pojęć o poezyi. Co do mnie, miałem inny ważniejszy powód do odpowiedzenia Mickiewiczowi. Rzecz szła o wystawienie tego, co uczynili dla oświaty i piśmiennictwa, autorowie zupełnie nie należący do sporów o romantyczność, zmarli przed kilkunastą laty, a zagarnięci ogólném potępieniem.

Sprostowawszy te miejsca z przedmowy, w którój moje zdania mylnie przytoczone zostały; skreśliłem obraz działalności dawniejszych literatów warszawskich. Zupełnie zgadzam się z Mickiewiczem w tém, że oni nie znali pisarzy i estetyków angielskich i niemieckich, że w recenzjach głównie zwracali uwagę na usterki przeciw prawidłom gramatyki, nie zaś na ducha przedmiotu; że poezja romantyczna wyższa jest od klassycznej francuzkiéj, że nie samo tylko towarzystwo wykształcone, ale cały naród, jego dzieje, podania i pieśni, powinny być źródłem natchnienia poety. Ale przy wyprowadzeniu wniosków z tych twierdzeń i ocenianiu zasługi autorów, udowodniłem, że pisarze wieku Stanisława Augusta i następni nie mogą odpowiadać za to, czego w ówczesnym stanie nauk uczynić nie mogli; że byli nieuchronnie poprzednikami teraźniejszego rozwoju; że nieznamość literatury niemieckiej i angielskiej nie była skutkiem ich złéj woli, ani uprzedzenia; że znali naukowy stan kraju i nie tylko postępu nie tamowali, ale przez wyrobienie języka, przez poprawę edukacyi, przez utrzymanie i ożywienie chęci do czytania, przez tłumaczenie celujących autorów starożytnych utorowali drogę następnemu pokoleniu; że pierwszego głosi-ciela nowych pojęć i zasad, niezwłocznie przyjęli do grona

swego, a więc nie na szyderstwo, ale na wdzięczność młodych pisarzy zasługują.

Z listów obudwu Koźmianów do Morawskiego pisanych, okazuje się, że z mojej odpowiedzi na przedmowę Mickiewicza, wcale nie byli kontenci. Mniemali, że będę w niej dowodził wyższości dawniej literatury klasycznej nad romantyczną: rzecz dziwna, jak mogli tego spodziewać się po moich uwagach nad poezjami Mickiewicza, Odyńca i Zalewskiego. Andrzej Koźmian wyraża się, że ich zawiódł, że odpowiedź moja da się streścić w tych słowach:

„Panie Mickiewiczu! byłem i ja też wielbicielem WP. talentu, jesteś niewątpliwie pierwszym poetą, pełnym imaginacji, wdzięku i t. d.; lecz żeś ojca mojego zaczepił, odpowiadam ci żeś jest niczem.” Wkrótce potem pisze, że zdradził sprawę klasyków, a Morawski wyraża się, że ucieka odemnie jak od ognia. Niepodobna okazać większej płytkości zdania, jak to Andrzej Koźmian uczynił. O Morawskim to powiem, że nie potrzebował uciekać odemnie, bom go nigdy nie szukał i nie gonił i tylko u generała Krasińskiego widywałem go niekiedy.

IV.

Na krótki czas przed tą literacką rozprawą o przedmowie Mickiewicza, zdarzył się pewien wypadek, który przeciw mnie tém bardziej rozjątrzył Koźmianów i ich koteryą. Poszło to znowu o tę nieszczęśliwą Andromakę Rasyna. Od r. 1821 Morawski kończył i poprawiał swój przekład i nigdy z niego zadowolony nie był; tymczasem, Werowski artysta dramatyczny, znowu drogą benefisową po raz drugi wprowadził moje tłumaczenie na scenę. Poprawiłem je najtroskliwiej, wydrukowałem razem z przekładem Zairy tragedyi Woltera i kilku innemi tłumaczeniami i przypisałem Julianowi Niemcewiczowi: było to w r. 1827. Nareszcie Morawski wykończył swój przekład w r. 1829 i dał go na scenę. Nasza arystokracja zajęła łoża, liczni przyjaciele i koledzy Morawskiego zasiedli pierwsze miejsca w krzesłach, sztukę wystawiono jak najstaranniej, a nazajutrz wszystkie ówczesne gazety zabrzmiały uwielbieniem dla tłumacza. Poważny Niemcewicz raczył napisać artykuł do Kuryera, a w nim

wysławiał Morawskiego jako *pierwszego tłumacza* Rasyna; o moim zaś przekładzie wydanym przed rokiem, przypisanym jemu samemu, nie rzekł ani słowa.

Toż samo uczynił Koźmian w swoim artykule do Gazyety Warszawskiej i ktoś jeszcze, podobno Fredro, w Gazecie Polskiej. Oburzyło mnie i rozdrażniło to zamilczenie; uważałem je za obrazę, większą nawet od najostrzejszej krytyki. Niechby ci panowie wyrzekli, że tłumaczenie Morawskiego jest lepsze, że moje ani się z nim równać nie może; niebym na to nie odpowiedział, sąd zostawiłbym publiczności; ale pokrywać milczeniem pracę młodego pisarza, dla tego, że nie należy do arystokratycznej koteryi, że nie bawi wierszami swoimi naszych dam salonowych, była to rzecz niegodna pisarzy sławnych i szanowanych.

Nie odwzajemniłem się krytyką przekładu Morawskiego; ubliżałbym sobie samemu, chcąc być razem sędzią i stroną. Postarałem się tylko o najważniejsze miejsca z Andromaki tłumaczenia Morawskiego, a to z roli Pirrusa, Orestesa, Andromaki i Hermiony, wydrukowałem je w gazetach ówczesnych, obok mojego przekładu, z dodaniem téj małej wzmianki, że gdy wielbiciele p. Morawskiego zamilczeli o pracy jego poprzednika, przeto tém zestawieniem prostuje się ich błąd *umyślny*, czy téż *przypadkowy*. Żem się nie lękał współzawodnictwa, niech posłuży za dowód następujących kilkanaście wierszy.

Śmierć Pirrusa Andromaka. Akt Vty. Scena IIIcia.

Tłumaczenie Morawskiego.

Orestes.

Stało się, pani, twoja wola już spełniona,
Już Pirrus przeniewierczy przy ołtarzu kona.

Hermiona.

Pirrus umarł!

Orestes.

Umiera! Tak pani, w téj chwili
Grecy twoje ohydę we krwi jego zmyli,
Przyrzekłem ci śmierć jego, a choć w pierwszej dobie
Czułem wstręt do morderstwa, przemogłem je w sobie.

Pobiegłem do świątyni, gdzie już z każdej strony
 Zastał ołtarz przez naszych Greków otoczony.
 Ujrzał mię Pirrus, poznał, lecz na nie nie zważał,
 Zdawało się, że we mnie Grecyą znieważał,
 Żem w nim męstwo podwajał, a z Greków orszaki,
 Przybył na uświetnienie ślubu Andromaki.
 Nakoniec wziął koronę i wieńcząc jej skronie,
 „Przyjmij, rzekł moją wiarę i osiądź na tronie,
 Tron, berło, rękę, seree i wszystko czém władam.
 Z całą chwałą Achilla u nóg twoich składał.
 Odtąd się z twoim synem wiecznym węzłem sprzęgam,
 Zaprzysięgam to bogom, matce zaprzysięgam!
 Ktokolwiek przeciw niemu, przeciw mnie powstanie,
 Królem, królem go waszym mianuję Trojańskie.”
 Ledwie ten głos powtórzył z radością lud cały,
 Wszystkie się Greci krzykiem wściekłości ozwały,
 I tak nań ze stron wszystkich rzuciły się razem,
 Że go nie mogłem mojem dosięgnąć żelazem.

Tłumaczenie F. S. Dmochowskiego.

Orestes.

Stało się Hermiono! zemsta dopełniona,
 Ukaralem Pirrusa; przy ołtarzu kona.

Hermiona.

Zginął!

Orestes.

Kona w tej chwili: za podłą niewiarę
 Grecy mu wymierzili zasłużoną karę,
 Poprzysięgłem ci zemstę i chociażem z razu,
 Wzdrygnął się na okropność twojego rozkazu,
 Pobiegłem do świątyni; tam Grecy już stali,
 I już tylko na moje skinienie czekali:
 Ujrzał mię dumny Pirrus, lecz się nie zatrwożył,
 Rzekłbym, że jego śmiałość mój widok pomnożył,
 Że wzgarda wszystkich Greków w osobie ich posła,
 Nową jego ślubowi ozdobę przyniosła.
 Wziął z ołtarza godności królewskiej oznaki,
 I ozdobił koroną czoło Andromaki.
 „Poprzysięgam ci wiarę i miłość wzajemną,
 Andromako, rzekł, panuj nad ludem, nademną!
 Zasłonię syna twego przed potęgą wrogów,
 Poprzysięgam to matce, przysięgam na bogów,
 Ojcowską mu przychylną zachowam do zgonu,
 I odtąd go uznaję królem Ilionu,

Na te słowa, z zabójczym pośpieszając ciosem,
 Grecy odpowiedzieli wściekłości odgłosem,
 I tak na niego wszyscy uderzyli razem,
 Że go nie mogłem mojem dosięgnąć żelazem.

Pociąg do epigrammatów i satyry panował między pisarzami owego czasu: wyniknął on może z pism Krasickiego, tak upowszechnionych wtedy, a głównie dowcipem nacechowanych. Dla dowcipnych dwóch lub czterech wierszy, dla schwycenia i oddania śmiesznej strony przedmiotu, poświęcano częstokroć, uczucie piękności, a nawet ważne względy i stosunki społeczne. Osieński i Morawski głównie odznaczali się takim dowcipem; takąż samą monetą zapłaciłem tym salonowym literatom, za milczenie o mojej pracy.

Wspomniałem, że cała arystokracja zaszczyciła swoją obecnością, pierwsze wystawienie Andromaki tłumaczenia Morawskiego. Ta koterya nie powstała od lat kilku w teatrze i potem już się więcej w nim nie pokazała; z tej przyczyny doszedł do niej następujący wiersz:

Nie darmo u nas stare przysłowie się gnieździ,
 Że łaska pańska na pstrym koniu jeździ;
 Wszak mimo tego, że Hektora wdowa
 Andromaka salonowa
 Tyle hałasu zrobiła w Warszawie,
 Przecież na drugiej wystawie
 Nie było jój żadnego, czciciela kochanka:
 Ni Fredry, ni Kozmiana, ni nawet Kozmianka.

Ów znany Jaksa Marcinkowski, nie wiele zważał na żarty których był celem i lubił także pochwalić się ze swego talentu. Właśnie wtedy prawil przy obiedzie u gen. Kr. w mojej obecności, że czas niejaki bawiąc w Lublinie u Morawskiego, czytał mu swój poemat *Rzeki*, że Morawski poprawił mu, a nawet i dodał kilkadziesiąt wierszy. A i ja też nawzajem—mówił dalej: nie jedno trudne miejsce w Andromace przetłumaczyłem dla p. Morawskiego i przyjął moją wersyą za swoją. Rzecz oczywista, że w tém samochwalstwie nie było ani słowa prawdy. Obecny tej rozmowie, rzekłem:—Na Boga! nie rozgłaszaj panie Kajetanie tej okoliczności, gdyż złośliwi romantycy gotowiby powiedzieć:

Wie dobrze ten, kto bada wszech rzeczy przyczyny,
Że w rurekch spółkujących równają się płyny.
Tak dwóch zażyłych wieszczów zbliżyły się prace:
Morawskiego znać w *Rzekach*, Jakse w *Andromace*.

Ten czterowiersz na prędce powiedziany, natychmiast zapisano i dwa jego ostatnie wiersze przytacza Andrzej Koźmian w liście swoim, nazywając je pełnemi jadu i żółci.

Bywałem u generała Krasińskiego, bo tam zdarzała mi się sposobność zapoznania się z autorami przybywającemi ze Lwowa, Wilna, Krzemieńca i t. d. Miło mi także było znajdować się w towarzystwie razem ze starszemi autorami, członkami Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a jako młodemu pisarzowi i wydawcy, zawiązywać stosunki towarzyskie. Sprzykrzyły się nam nieustanne drwinki Morawskiego i Koźmiana, z Jaksy. Pewnego razu, gdy Morawski czytał przy obiedzie list, w imieniu Jaxy do generała Krasińskiego pisany, a będący nowym szyderstwem z biednego wierszoklety, znieczcierpliwiony odezwałem się:

— Panie Generalę, wybacz pan, że śmiem do jego dowcipnego listu, dorzucić na zakończenie dwa wiersze. Użala się Jaxa na ciągłe żarty generała; czyby nie można powiedzieć:

„Przeto, żem rolę głupca grał u twego stołu,
Zbyt drogom ci zapłacił za łyżkę rosółu.”

Każdy się domyśli, że Jaxy nie było wtedy na obiedzie. Morawski i Krasiński zapłonęli się i zamilkli; poczem zaczęto mówić o czém innem, a po obiedzie Osiński wzięwszy mię na stronę rzekł: „Jakże niepotrzebnie wyrwałeś się z twoim konceptem! Krasiński się obraził, a Morawski, wiesz że cie oddawna nie lubi.

— I cóż mi to szkodzi? rzekłem; niech pan generał uczuje że nie bywam u niego jako dworak, lecz że moje zdanie śmiało wyjawiam, moim zawodem jest wydawnictwo i pisarstwo, a mecenasami cała publiczność.

Wiadomo, że ówczesni wierszopisowie długo poprawiali swoje prace, trzymając się prawideł Horacyusza. Przesada w tym względzie, niemniej jest szkodliwa jak zbyteczny pośpiech. To było powodem, do napisania następującej baj-

ki, która także w rękopiśmie krążyła, a nie mogła mi zjednać życzliwości Obozu klasyków.

Bigos hultajski.

Ktoś tam, który był kiedyś kuchmistrem nadwornym,
 I o którym każdy sądził,
 Że jest smakoszem biegłym i wybornym,
 Hultajski bigos sporządził.
 Sporządziwszy pokosztował,
 Lecz go nie dał, ale schował:
 Myśląc sobie, mam nadzieję,
 Że gdy się bigos odgrzeje
 To będzie trzy razy lepszy.
 Chociaż więc swych gości nudzi,
 To go grzeje, to go studzi,
 To go soli, to go pieprzy,
 To go sam liznie, to da liznąć drugim,
 Ale zawsze mu się zdało,
 Że bigosowi czegoś niedostało.
 Tak, z przeciągiem czasu długim,
 Od pokosztowań i przypraw bez braku
 I sam w ustach nie miał smaku;
 Waha się, myśli, rozważa,
 I smaży go i odsmaża.
 Raz bigos jest za chudy, drugi raz za tłusty;
 To mu mięsa przyrzucea, to znowu kapusty;
 Póty się krząta i krząta, aż wreszcie
 Zaczęto o bigosie gadać w całym mieście.
 To mi to będzie: rzecze jaki taki:
 Przysmak nad wszystkie przysmaki,
 Lepszy niż cukry, niż ciasta i wety!
 Przecież się owęj chwili doczekano
 Że okrzyczany bigos na stół pański dano.
 Oóż się zrobiło niestety!
 Ci, którzy pierwsze miejsca przy stole zasiedli,
 Chociaż smaku nie czuli, ale żwawo jedli
 I musieli z urzędu sypać pochwałami
 Tyłokrotnie go bowiem kosztowali sami;
 Drudzy, którzy to zawsze owczym idą torem,
 Że jest bigos wyborny, ręczyli honorem;
 Lecz ten i ów, co wcześniej nad nim się nie dziwił,
 Przy nie jednym kawałku porządnie się skrzywił.
 I rzekł, iż bigos mimo tak wielkiej otuchy
 Jest nieco przydymiony, przy-twardy, przy-suchy.
 A jakież z tego wnioszek? Rzekł mądrze Horacy:
 Bez poprawienia nie wydaj twój pracy.

Lecz z téj bajeczki odnieś ten pożytek,
 Że i w dobrym, zły jest zbytek.
 Nieraz piętno natchnienia w poprawkach zginęło,
 I możesz jak ten bigos zepsuć własne dzieło.

Upprzedzam czytelników, że te wszystkie wysoki młodzieńczej satyryczności, nie były drukowane; chociaż jako redaktor Gazety Korrespondenta i Rozmaitości Warszawskich mogłem to łatwo uczynić. Rodziły się i gasły, właśnie w tém kółku, przeciw któremu były wymierzone.

Dobrze powiedział mędrzec ateński, Solon, że podczas walki stronnictw, każdy musi koniecznie do jednego lub do drugiego należeć. Szedłem średnią drogą między koteryą klassyczną i młodemi wielbicielami romantyczności; oddawałem sprawiedliwą pochwałę pomysłom, dążnościom i uczuciom romantycznej poezyi; ale żądałem poprawności stylu, powstawałem na niezgrabnych naśladowców Mickiewicza, którzy mnóstwem coraz to gorszych, aż do śmieszności dochodzących ballad, zarzucali nasze piśmiennictwo.

Pewnego razu, po przeczytaniu ballady Jana Kazimierza Ordyńca, której pierwszą strofę przytaczam:

Cóż to za piesek biały jak mleko
 Wyje żałośnie i szczeka dziko?
 Cóż to za piesek jak mleko biały
 Żałośnie wyje, szczeka dzień cały?

a w drugiej Wytwickiego o Kasprze Karlińskim, sławnym obrońcy Olsztynu, znalazłszy następujące wiersze:

Owóz na rozkaz grożący
 Karliński był czuwający.
 Niestety! zobaczył z wieży,
 Że tłum zbrojnych Niemców bieży.
 I niosą biedną dziecinę,
 A ona swoją rączynę
 Wyjmie, to chowa w pierzynę.

ułożyłem naprędce początek następującej ballady:

Fala idzie, ciemność wzrasta,
 Szumią deszcze, wichry świszczą,
 Huczą sowy, myszy piszczą,
 I zwolna bije dwunasta.
 Gdy dwunasta zwolna bije
 I gdy wszyscy śpią głęboko,

W biednej chatce, dokąd czyje
Czuwa jeszcze ludzkie oko?

Czyjeż ludzkie oko czuwa?
Troska czyjeż sen zatruwa?
I dla czego w nocnej ciszy
Huczą sowy, piszczą myszy?

Stara siedzi tam dewotka
I na kółku przedzie nici,
I na swego woła kotka
Kyci, kyci, kyci, kyci!

Pójdź tu do mnie Maćku mały,
Maćku mały pójdź tu do mnie,
I wstaje Maciek zaspaly,
I z zapiecka wylazł skromnie.

Jakaż to mina zdradziecka,
Choć skromnie wylazł z zapiecka?
I pomruknie i pomruknie,
Łbem obciera się o suknie.

Czy widzisz koźle kopytko?
A więc kłębka dójdź za nitką,
Że owa stara Dorota
Ma djabła w postaci kota.

A zakłębem związany bies
Służyć musi jakby pies.

Na tém przerwał się ten utwór, który mi tę zasługę przyniesie, żem napisał taki wiersz oryginalny, jakiego nikt nie złożył przedemną, a po mnie zapewne nikt go nie użyje:

Kyci, kyci, kyci, kyci!

O tych i tym podobnych żartach, obrażeni naśladowcy donosili Mickiewiczowi, a docinki na nich rzucone, kładli na jego rachunek.

Zasługuje na uwagę, że Wytwicki od tak lichych wierszy jakie przytoczyłem, wzniosł się w parę lat potem do elegii na zgon Woronicza, znakomitęj i wzniosłością myśli i dykcyą; a w pieśniach sielskich i poezjach biblijnych, dał dowody wysokiego talentu.

Nie lubiła mnie koterya klasyków, jak to się z broszury p. Siemińskiego pokazało, a warszawscy apostołowie ro-

mantyczności, którzy pod płaszczem wielkiego poety, chcieli ukrywać nędzę swego talentu, uważali mię za największego przeciwnika. Mam przynajmniej tę pociechę, że nie hołdował żadnemu stronnictwu, a czyli błdził, czy też miałem słusność za sobą, otwarcie wypowiadałem zdanie moje.

V.

Nieprzeparta potęga wypadków, rozproszyła z końcem 1830 roku i obóz klasyków i liczną gromadę romantyków warszawskich. Koźmian osiadłszy w ustroniu wiejskiem, dokończył przecież i wydał swoje *Ziemiaństwo* i napisał obszerny poemat o Stefanie Czarnieckim, kilkanaście tysięcy wierszy obejmujący.

Na nikim, naśladownictwo łacińskich wzorów, aż do fanatyzmu posunięte, nie wywarło tak szkodliwego skutku, jak na Koźmianie. Zналиśmy z jego *Ziemiaństwa* kilka tylko ustępów, a z nich wnosząc, spodziewaliśmy się, że całość będzie bardzo znakomitę dziełem. Tymczasem, Koźmian zamiast pójść za polotem wyobraźni, zamiast przejąć się duchem naszych wieśniaków i średniej szlachty, jak to był uczynił Karpiński, rymował przepisy gospodarskie na wzór Wirgiliusza i nie czuł tego, że poezya zasadza się na działaniu połączone z obrazowością i lirycznością, na głębokich myślach, nie zaś na opisach i prawidłach w rym powiązanych. Dla tego też, poemat Koźmiana, stawiony obok *Tadeusza Mickiewicza*, *gawęd Pola* i *Syrokomli*, porównania z niemi nie wytrzyma. Może ktoś kiedyś wybierze z niego kilka ustępów, toż samo uczyni z poematem o Stefanie Czarnieckim, dołączy do tego *Ode na pokój roku 1809*, odpowiedź Zygmuntovi Krasińskiemu, mowę na pogrzebie Mokronowskiego i utworzy niewielką, ale piękną pamiątkę talentu, zwicniętego przez niezastosowanie się do ducha wieku i narodu. Żeby nie okazać się niesprawiedliwym albo uprzedzonym względem Koźmiana, powiem i to, że ostatnie 25 lat jego życia, spędzone w ustroniu wiejskiej, zdaleka od wszelkich spraw publicznych, udowodniły, że chociaż różnił się w zdaniu od młodszego pokolenia, jednakże trzymał się własnego przekonania; nie szedł za ubocznemi względami, a to jest rzecz godna szacunku w każdym człowieku.

W r. 1854 odwiedziłem Koźmiana w jego zaciszu, we wsi Piotrowice o dwie mile od Lublina leżącej. Rozrzewnił mię widok osiemdziesięcioletniego starca i jego sędziwej małżonki. Dał mi do czytania ukończony poemat o Czarneckim i niektóre wyjątki z Pamiętników. Uszanowanie należne starości, wstrzymało mię od uwag nad temi pracami, tém bardziej, że w tak późnym wieku już człowiek nie zmienia ani ducha prac swoich, ani poglądu na ludzi i wypadki. Prosił mię, żeby mu zostawić pamiątkę mojej bytności w jego domu. Zadosyć czyniąc tak miłemu wezwaniu, napisałem te kilka strofek zastosowanych do klassycznego ducha poezyi Koźmiana.

Jakaż nadludzka, niepojęta władza
Duch twój ożywia i zapał odradza?
Tobie od młodu przywodził do pracy,
Homer, Wirgili, Tacyt i Horaey;
Z nich bierzesz przykład, jak mąż wielki, prawy,
Ślepego gminu nie lęka się wrzawy,
I kiedy ziemię burza w proch rozmiata
Stoi niezłękły na zwałiskach świata,
Czołem uderzy ludzkość przerażona,
Lecz nieulekły dotrwa duch Katona.
Z tych źródeł płyną i twych pism zalety
I czerstwość myśli i duszy spokojność,
Przez nie, potrójna zdobi cię dostojność,
Obywatela, starca i poety.

Morawski uwolniony od wpływu dowcipkującej koteryi, nie upajany oklaskami salonowemi, wróciwszy do ziemiańskiego życia, znalazł natchnienie i uczucie, i zbogacił poezją naszą znakomitemi utworami. *Dworek mego dziadka*, *Fragment charakteru*, *Droga żelazna*, *Bajki* i wiele innych lirycznych poezyi, połączone ze *Snem poety* z *Listami do romantyków i klassyków*, z przekładem *Mazepy* i *Manfreda* z Bajrona, zagłodzić powinny w sędzie potomności, pamięć o jego nowym Parnasie i niesmacznych żartach z Marcinkowskiego. Osiński już w r. 1809 skończył swój zawód poetyczny i po tłumaczeniach Kornela i dwóch odach, nie już nie pisał. Krytycznych zdań swoich nie ogłaszał drukiem, niekiedy rzucił jaki docinek; chociaż więc był przeciwnikiem romantyczności, tém tylko walczył przeciw niej, że piękną deklamacją oraz gładkim i jasnym i potoczystym stylem, pod-

nosił na kursach literatury porównawczej, wartość płodów literatury francuzkiej. Słuchano z zajęciem jego prelekcij, lecz to nie przeszkadzało bynajmniej do rozwoju i coraz większego upodobania w utworach nowej szkoły. Po roku 1830, Osiński w ostatnich kilku latach życia już wcale nie zajmował się literaturą.

Szanowni Czytelnicy! zbierając moje wspomnienia z czasów młodości, zamieściłem nie jeden drobiazgowy szczegół. Ówczesne wierszowane docinki, może będą dla was zupełnie obojętne; lecz wybaczcze mi, że chciałem okazać się przed wami, w rzeczywistym obrazie. Gdybym nie napotykał dość częstych a błędnych wzmianek o moich dawnych artykułach literackich, gdyby mię p. Bartoszewicz w swojej *Historji literatury polskiej* *klasykiem pierwszej wody* nie nazywał (1); to widząc, jak terażniejsze pokolenie wyrzeka się wszelkich pradziadów swoich, byłbym was tą pogadanką nie trudził. Może za lat kilkadziesiąt, przyjdzie czas wymiaru sprawiedliwości, a te zarysy posłużą za materyał przyszłym historykom naszego piśmiennictwa. Ale dosyć już tych egotycznych wywędrzeń: wiek starszy ma swoje przywileje, ale ma także granice, a boję się żebym ich nie przekroczył.

Warszawa, 10 czerwca 1866 r.

F. S. Dmochowski.

(1) Z niniejszego artykułu, niech się przekona p. Bartoszewicz, czyli sprawiedliwe jest jego wcale nie literackie wyrażenie. Mniemam że nie czytał moich uwag krytycznych, i pisał to, co mu w pośpiechu na myśl przyszło.

